

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Bywa stały w swojej niewierności, jakkolwiek jego świat okraszony jest niezmożoną ilością miłosnych pomyłek.

Za, przed i po Rewolucji, Wielkiej, czy Lipcowej, miłość była towarem deficytowym, abstrakcyjnym, iluzorycznym i być może z tego powodu nieosiągalnym, bo pięknym i sztucznym jak próchno udające kwiat.

Dla Balzaka Miłość Prawdziwa istnieje tylko między bajkami.

Realna, nie jest jednostronna, lecz wzajemna. Zraniona, odepchnięta, wystawiona na pośmiewisko, staje się parodią upragnionej, przemianą w swoją odwrotność.

Miłość w potocznym rozumieniu, to ślepa gra niewidomych namiętności. Schodek do kariery: parostwa, czy perfumerii. Wyrachowana zamiana społecznej pozycji. Przesiadka z trotuaru do powozu, z jaskółki do łoża, z całowania pańskiej klamki do bycia jej właścicielem.

To wątpliwy interes; rzut w niepewne, skok w złudzenia, brawurowa galopada żarliwości połączona z człapiącą agonią uczuć.

Czysta, gorąca, wzajemna, występuje incydentalnie. Tak rzadko, że niejako wcale. To wyścig do majątku; z kotem w worku na głowie. Miłość, to kochanka w powozie i Rotszyl w liberii na koźle. Albo bezpardonowa walka na podstępny, intrygi, wzajemne bijatyki i poszturchiwania.

Utwory jego nadal są aktualne, jak usposobienia kobiet malowanych przez niego. Listownie go uwielbiają, utwierdzają w przekonaniu, że je zna, a on, podekscytowany i szczęśliwy bez reszty, wodzi zmęczonym wzrokiem za byle suknią.

W odwet za ziemskie porażki, narzuca czytelnikom własne obrazy kobiet, potworków wyspanych z autopsji i awanturniczych dykterijek. Przenosi je na papier, a pisząc o nich ze swadą, wtlacza w powieści rozliczne ambasadorki mętnych spraw, jawno-grzesznice o gdczącym rozumku, megiery paplające głodne kawałki, wyrzucające z siebie oficjalne biuletyny o swoich nastrojach. Płodzi misterne, zniewalające, rozkoszne Drętwy („Blaski i nędze kurtyzany”), które są poślubione śmierci; skazane na grzech, występki, zbrodnie, kochają za krótko, za żarliwie i za bezinteresownie, by być prawdziwymi.

Tworzy pięknotki zdarzające się w snach, wojownicze insekty przywleczone z najgorszych koszmarów, chciwe na uwielbienie, cwane kręgosłupy swoich galeretowatych mężów, kochanków i absztyfikantów, kobiety – anielice, kobiety – muszki, kobiety – gnidy i kobiety – kłęczniki, które stroją przed audytorium kontrolowane fochy, mają niszczące wymagania, posługują się myślami pasującymi do koafjury.

Opisuje przechery, posępne matrony, żyłaste szkapy, kute na cztery nogi, przeżarte cynizmem, obrotne w gadce, pyskate, gderliwe babsztyłe udające ciotki Jakuba Collin, „Azje” i „Europy” („Po czemu miłość wypada starcom”), których jedynym zajęciem jest sprawianie sobie przyjemności, które tolerują mężczyźni tak, jak znosi się cudze zwyrodnienia. Bawią się nimi, jak kot bawi się kłębkami strachu z myszy; zawsze pod bronią, skoncentrowane na sobie, ostentacyjnie czule i na pozór bezgrzeszne.

Mężczyźni nie ma u nich szans, jeżeli jest karmiony szpakami, ma niedochodowe przywary lub za majątek – ubogich krewnych.

Staje się interesujący i powabny, kiedy można go zeszmacić, oskubać i wypchać, gdy za głośno nie narzeka na drański los jelenia.

Balzak, jako erotyczny turysta, amant od wielkiego dzwonu, cierpliwie dojeżdżający do chimerycznych wdzięków Eweliny, ma bezsporną zaletę: jest za daleko. Otrzymywanie od niego listów bawi ją, zaspokaja próżność.

Jego altruizm podszyty jest egoistycznymi względami; przestrzeń dzieląca ją od pisarza jest ratunkiem przed opinią krewniaków troszczących się o niedeptanie Carowi po imperialnych odciskach, o nie niszczenie mu jego łaskawej wrogości do Polaków, o utrzymanie złudzeń po [ongi] bezwstydnym pokaznym bogactwie.

Obawia się w nim inteligentnego szaleńca, rozrzuconego pisarza po uszy zanurzonego w długach, nieobliczalnego geniusza wstrząsanego iluzją; pruderyjna sensatka i zrzedliwa syrena jednocześnie, myśli o nim z ostrożną tkliwością rozkapryszonej „skąpicy” [listy Balzaka do Hańskiej].

Z wielkiego wszędzie i nigdzie, z domu wypełnionego dobrobytem, dokonuje mu strofujących ocen postępowania, zwodzi obietnicami rychłego małżeństwa, a zarazem trzyma go na smyczy z dobrych rad i piluje bezustannymi apelami o zachowanie rozsądku: na dystans; z dala od swoich peniuarów.

Bez większego uszczerbku mogłaby zlikwidować jego finansowe zobowiązania, lecz wie, że metoda skrócenia mu trosk, obróciłaby się przeciwko niej, przyspieszyłaby chwilę zawarcia legalnego związku z niepoprawnym utracjuszem, no i moment, gdyby, jako mąż, zaczął puszczać się na swoje bankructwo.

Do tego zadaje sobie retoryczne pytanie: czy pisałby bez bata finansowej niepewności? Zwleka więc z podjęciem decyzji o małżeństwie. Do chwili, gdy upragniony mariaż staje się dla niego spóźnioną rekompensatą twórczej niemocy, gdy może być tylko bezsilnym obserwatorem spełnionych

rojeń [na kilka miesięcy przed zgonem, dochodzi do ślubu (1850, Berdyczów), na który czekał kilkanaście lat].

Kiedy Ewa nie odzywa się przez tygodnie, Honoriusz nie tworzy.

Wyfruują z niego dobre pomysły, nie ma w mózgowej przechowalni odpowiednich słów, słów też więc zapomina co i rusz. Mało co mu się klei, a wszystko wydaje mu się nie takie, jak planował: niezręczne, wydumane, dęte i pokraczne. Cała ta sarabanda z oczekiwaniem niepokoi go, mąci mu resztkę optymizmu, irytują te miłosne zgrzyty i korowody. Ale gdy na widnokrepu pojawia się lekarstwo, list, oficjalny znak pamięci, życie powraca do ustabilizowanych rytarów, słońce świeci znowu, deszcz nie pada tak ciągle, a czarne oceny świata zabarwiają się na zielono; nieustanna adoracja, to silny narkotyk. Kiedy słucha jej cierpkich pouczeń, gdy otrzymuje skwaszoną przesyłkę z Ukrainy, stwierdza, że kochanka jest nieznośną formalistką, ponieważ odpowiada na jego serenady stylem obrachunkowym, pełnym liczb, kwot i utyskiwań, stylem kaznodziejskim i odczonym z miłości. Dostrzega, że Ewelina przedstawia się na tle rodziny, pogrążona w oceanie sprzeczek, napięć i animozji z pociotkami.

W takich mgnieniach wychodzi z niego literat – pocieszyciel i w jego odpowiedziach pobrzmiwają uspokajające tony: wie, że powinien ujrzeć w niej biedną, uciśnioną, słabą i przez nikogo nie rozumianą kobiecinę, prawie rezydentkę we własnym domu, zrozumieć, pisze więc do niej, że jego zmartwienia są bagatelne, nieważne, przejściowe, zatem posłusznie i zgodnie z jej intencjami zmienia je w błahostki, odwraca kota ogonem i blaguje, i baja i wlewa jej do serca hektolitry otuchy: osłabia jej żale mówiąc, że nie jest tak źle, bywało gorzej, lecz przecież jakoś wychodzili z tarapatów, bo mieli siebie, mogli na sobie polegać, drogę rozjaśniało im kochanie, przecież nikt jej nie wypędza na tułaczkę w zamrów, a czy perspektywa życia razem z nim, to dla niej nic?

Jako literat święcie wierzy w kojącą moc swoich słów; jako podstarzały Adonis – nie za bardzo.

Mimochodem nadmienia, że w imię tej umykającej, lecz niezmordowanej wizji, pracuje ponad ludzkie wyobrażenia. Już wkrótce przyjdą pieniężne efekty i sława stanie się podstawą jego bogactwa, a jej dumy.

cdn.

Marek Jastrzęb

